Nr. 8. Lwów w sierpniu 1898. Rok XXI.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

PO ZJEŹDZIE.

Mimo najszczerszej chęci nie mogłem przybyć na zjazd łowiecki, na który się już od dawna wybierałem, gdyż powstrzymała mnie w domu burza czerwcowa. Wyrządziła mi takie szkody, że musiałem w domu pozostać, aby przez rychłą i energiczną akcyę choć cokolwiek uratować. A podwójnie mi przykro, iż ta elementarna klęska wstrzymała mnie w domu, raz dlatego, że byłbym uścisnął dłoń kilku znajomych, których już od lat wielu nie widziałem, powtóre zaś, że jak widzę z obszernego sprawozdania ze zjazdu, zamieszczonego w *Łowcu*, dyskusya była bardzo obszerną i zajmującą, więc żal mi, iż w niej udziału brać nie mogłem.

Ponieważ atoli na zjeździe zapadła uchwała, iż ruchliwy i wielce zasłużony około obrony i rozwoju spraw łowieckich w kraju Wydział Towarzystwa łowieckiego ma jeszcze w kwestyi proponowanych zmian w ustawie łowieckiej zasięgnąć opinji ekspertów i Towarzystw myśliwskich prowincyonalnych, pozwólcież mi więc, chociaż niepowołanemu i chociaż nie mam wcale pretensyi do zaszczytu eksperta, ale jako staremu myśliwemu skreślić kilka uwag, które byłbym wypowiedział na zjeździe, gdybym mógł był wówczas do Lwowa przyjechać.

Przedewszystkiem cieszy mnie bardzo ten fakt, iż drugi zjazd łowiecki był o wiele liczniejszy niż pierwszy, że zdołał ściągnąć łowców ze wszystkich stron kraju. Jestem również tego zdania, co Szanowna Redakcya, że zjazd ten byłby daleko liczniejszy, gdyby nie owa czerwcowa burza. Mnie zatrzymała w domu, a pewno takich było więcej. Za to jeszcze liczniej, da Bóg, zobaczymy się na przyszły rok, na trzecim zjeździe łowieckim.

Piękny i fachowo opracowany referat dr. Aleksandra Małaczyńskiego, jak widać z jego pracy, wielkiego znawcy

ustawodawstwa łowieckiego, poruszył w istocie wszystkie braki i wady nowej ustawy łowieckiej, uzasadnił je tak, jak tylko myśliwy-prawnik uczynić potrafi i jestem pewny, że te uchwały, które w sprawie zmian w ustawie łowieckiej poweźmie na przyszłych posiedzeniach Wydział Towarzystwa łowieckiego, nie będą wcale odbiegały od wniosków, wysnutych w tym znakomitym referacie. Ja nie godzę się tylko na jeden ustęp referatu, a mianowicie na ten, w którym mowa o zakazie polowania w niedziele i święta.

Ów nieszczęśliwy §. 41 ustawy łowieckiej narobił wiele hałasu w całym kraju, zaniepokojenie się nim odbiło się i w łamach *Łowca* w szeregu artykułów, ale ja, stary myśliwy, polujący już od lat kilkudziesięciu, zaniepokojenie to uważam za zupełnie nieuzasadnione. Przepis ów, zdaniem mojem, nikomu żadnej nie przynosi szkody, a zupełnie płonną wydaje mi się obawa, iż ścisłe przestrzeganie tego paragrafu, może — jak twierdzi dr. Małaczyński, zachwiać bytem Towarzystw myśliwskich, wzmódz kłusownictwo i sprowadzić upadek gospodarstwa łowieckiego w kraju.

Bezwarunkowo jestem za ścisłem święceniem niedzieli i za utrzymaniem postanowienia, aby w ten dzień polować nie było wolno. Wszakżeż wszystkie sfery naszego kraju oddawna już walczyły o to, aby zaprowadzono święcenie niedzieli, dzięki tym staraniom całego społeczeństwa, wydaną została wreszcie ustawa nakazująca to święcenie, które ustawodawca, nie chcąc widocznie obrażać uczuć innowierców, nazwał skromnie „odpoczynkiem niedzielnym“, wszyscy się tej ustawie poddali i czyż my myśliwi jedni mamy przeciw temu oponować? Niedzielę święcić potrzeba i lud do jej święcenia przyuczać, leży to bowiem w interesie wyższym niż łowiecki, bo w interesie umoralnienia i podniesienia ludu.

W referacie swym zaznaczył dr. Małaczyński, iż łowiectwo jest sportem i jeżeli nie są zakazane przez ustawę wyścigi, ślizgawki, łowienie ryb, to również nie powinny być zakazane polowania. Z tem uzasadnieniem bezwarunkowo zgodzić się nie mogę. Wyścigi odbywają się zawsze w większem mieście, tak samo ślizgawki i tam na lud nie mogą wywrzeć ujemnego wpływu.

Lecz to są sporty uprawiane li tylko dla przyjemności; polowania obok przyjemności są już pewnego rodzaju przemysłem dającym zarobek. Wszakżeż wielu właścicieli większych własności z polowań obok przyjemności ciągnie wielkie zyski i daj Boże, abyśmy z tej gałęzi gospodarstwa naszego mogli mieć takie dochody, jakie mają Czesi i Niemcy. Wówczas nie przechodziłoby tyle ziemi naszej w obce ręce. Polowania więc ze sportami takimi, jak wyścigi, ślizgawka, jeżdżenie na rowerach itp porównywać nie można. Więcej ma podobieństwa polowanie z łowieniem ryb, ale ja, gdybym był ustawodawcą, surowo zakazałbym łowienia ryb w niedzielę przez chłopów na handel dla żydów, bo to jest taką samą pracą, jak każda inna. Również bezwarunkowo nigdy nie zezwoliłbym na polowanie w niedzielę. Chłop nasz dziś jeszcze dość nisko intelektualnie stojący, nie pojmie różnicy, jaka istnieje między pracą, a rozrywką, (choć jak wyżej zaznaczyłem, nie uważam polowania zawsze za rozrywkę) i użyty do nagonki i zapłacony za nią, uważa to za taką samą pracę, jak np. koszenie trawy lub wiązanie snopów. Wszak mu za to i za tamto pan płaci, więc jedno i drugie jest robotą, bo przecież dobrze wie, że za darmo lub za rozrywkę pieniędzy nie dostanie. Uważając więc nagonkę za pracę, za którą mu płacą i biorąc w nagonce udział, wie dobrze, iż sprzeciwia się dawanym z kazalnicy naukom, przypominającym mu, że w niedzielę pracować nie powinien, wie dobrze, że nie stosując się do nauk kapłana, popełnia nieposłuszeństwo — a za tem pójdzie to, że i w innych sprawach kapłana nie posłucha. A co najgorsza, że na usprawiedliwienie swoje powoła się na przykład swych „starszych braci“. Powie: ksiądz mi w niedzielę nie każe nic robić, a panom wolno polować i do polowania najmować ludzi; czyż panowie większe mają prawa? co im wolno, to i mnie wolno także!

Ile szkody takie tłómaczenie się może przynieść nam, szlachcie osiadłej na wsi, o tem wiedzą wszyscy dobrze — nie wiedzą chyba tylko panowie, mieszkający w mieście, którzy chłopa znają o tyle, o ile coś kupią na targu od niego, lub z książek jako przeidealizowanego naszego poczciwego kmiotka, posiadającego wszelkie przymioty, a żadnej wady.

W naszym interesie więc leży, abyśmy nie dawali złego przykładu wieśniakom i raczej wyrzeczmy się dobrowolnie, choćby nam na to ustawa zezwalała polowania w niedzielę, niżbyśmy mieli polując w ten dzień dawać zły przykład. Oddajmy Bogu, co boskiego i święćmy niedzielę. Zresztą, nawiasowo dodawszy, nazwa *Sontagsjäger* nie jest zaszczytnem mianem.

Idźmy za przykładem naszych ojców, którzy lepiej, częściej, na grubszego i liczniejszego niż my zwierza polowali, a zawsze niedzielę święcili.

Inaczej nieco zapatruję się na zakaz polowania we święta. Bardzo słusznie zaznaczył na zjeździe p. referent, a dowiódł w przedostatnim numerze *Łowca* p. Goralczyk, że takie ogólne postanowienie: „zakazanem jest polować w uroczyste święta“ doprowadzić może do absurdu, bo gdybyśmy mieli, czego Boże uchowaj, np. starostę żyda, to on wykonywując ten przepis mógłby z czystem sumieniem, trzymając się ściśle litery nie ducha prawa, zakazać szlachcicowi polować w kuczki lub sądny dzień, bo to uroczyste święto wyznania uprawnionego w Galicyi, a ustawa ogólnikowo zakazuje polować w święto. Mogłoby się zdarzyć więc, że ja nie mógłbym polować w dzień powszedni dlatego, że mój Szloma z karczmy ubrał się w atłasowy szlafrok i lisią czapkę i obchodzi Hamana. Sądzę, że powinno do tego zdania w ustawie być dodane jedno, jedyne słówko: „katolickie“, a wówczas kwestja rozwiązana.

W przepisach wykonawczych zaś powinno być zaznaczone, iż w zachodniej Galicyi nie wolno polować w święta według obrządku rzymsko-katolickiego, we wschodniej zaś w tych okolicach, gdzie Rusini są w większości, także w święta według obrządku grecko katolickiego. Nadto przepisy wykonawcze powinny określić, iż w święta uroczyste (z wyjątkiem pierwszego dnia Bożego Narodzenia i Bożego Ciała) wolno polować tylko po południu, ale w pojedynkę, lub w szczupłem gronie bez nagonek absolutnie zaś nie wolno polować rano, w czasie nabożeństwa.

Tu znów na poparcie mych wywodów powołam się na ogólną ustawę, która dla przemysłu i handlu w święta nie czyni wcale ograniczeń; nie powinna więc być surowszą i dla myśliwych.

Dziwi mnie twierdzenie referenta, iż zakaz polowania w niedzielę mógłby wzmódz kłusownictwo, sprowadzić upadek gospodarstwa łowieckiego w kraju i zachwiać bytem wielu Towarzystw myśliwskich. Dlaczego?

Kłusownicy przecież nie polują tylko w niedzielę i nie czekają na to, żeby go schwytał myśliwy, polujący w niedzielę. Postrachem kłusowników nie są ci myśliwi, którzy raz, dwa lub kilka razy do roku zbiorą się na polowanie, lecz właściciel lasu, leśniczowie, straż leśna i żandarmi Kłusownik wie bardzo dobrze, kiedy jest polowanie i wówczas, gdy wie, że las roi się od myśliwych i nagonki, z pewnością w kniei się nie pokaże. Jeżeli polowania będą w niedzielę, to on dzień ten spokojnie przesiedzi w domu, bo przecież dobrze wie, że przez sześć innych dni będzie mógł hulać po lesie. Czy polowanie w niedzielę będzie zakazane, czy dozwolone, nic go to nie obchodzi i nic nie zaszkodzi, ani pomoże. Pomnożenie straży leśnej, dobieranie do niej ludzi uczciwych, trzeźwych i pilnych, surowe karanie kłusowników przez władze, może ich wytępić, ale nigdy zezwolenie na polowanie w niedzielę. Każdy z myśliwych przyzna słuszność memu zdaniu.

W jaki zaś sposób zakaz polowania w niedzielę mógłby wpłynąć ujemnie na gospodarkę łowiecką w kraju, a zezwolenie na polowanie dodatnio, tego pojąć nie mogę. Może mi to raczy wyjaśnić p. referent, lub który z członków komisyi Wydziału Towarzystwa łowieckiego, która nad sprawą zmiany ustawy łowieckiej obradowała, a sądzę, że szanowna redakcya chętnie otworzy swe łamy na pomieszczenie wszelkich głosów w tej tak ważnej dla nas myśliwych sprawie. *)

Odważę się także twierdzić, iż zakaz polowania w niedzielę nie zachwieje wcale bytem tych Towarzystw myśliwskich, które utworzyły się na to, aby wspólnemi siłami wydzierżawić rejony myśliwskie i wykonywać na nich prawo polowania. Prawda, że — jak twierdzi p. referent — „lekarz, urzędnik, oficer, adwokat itd. mają w niedzielę najwięcej czasu i w dzień ten wolni od zajęć zawodowych, mogą się najłatwiej oddać szlachetnej rozrywce polowania“. Ale ten lekarz, urzędnik, oficer, adwokat, znajdzie także czas i w dzień inny, aby wolny od zajęć zawodowych, oddać się szlachetnej rozrywce polowania. Gdyby polowania odbywały się 52 razy do roku, w każdą niedzielę, to jeszcze powyższe twierdzenie miałoby może pewną racyę bytu. Ależ w kniejach, w których prowadzoną jest racyonalna gospodarka łowiecka, polowania tak często się nie odbywają — a przecież każdy z urzędników, lekarzy, oficerów, adwokatów, zawsze znajdzie w roku kilka dni powszednich, w których będzie się mógł uwolnić od zajęć zawodowych i pofrunąć na polowanie. Twierdzę to na podstawie własnego doświadczenia.

Na moje polowania zawsze oprócz sąsiadów zapraszam także i pp. urzędników z miasta i mego lekarza, a jeszcze nie zdarzyło się, żeby mi który odmówił z tego powodu, że to dzień powszedni i że on nie może oderwać się od swego zawodowego zajęcia. Zawsze byli u mnie na polowaniach i bardzo często nawet tak dobrze strzelali, że zawstydzali starych, zawodowych myśliwych. Jeżeli więc może się to dziać w mojem sąsiedztwie, jeżeli może przyjechać w dzień powszedni na polowanie p. komisarz, lub p. inspektor z X., dlaczegoby nie mógł tego samego uczynić także p. komisarz, lub p. inspektor z Z.

W mojem sąsiedztwie dzierżawią knieje członkowie lwowskiego Tow. myśliwych im. św. Huberta, czyli Hubertusy, jak ich nazywamy, a zawsze przyjeżdżali na dni kilka i nie polowali w niedzielę. Tak samo z pewnością jest i w innych Towarzystwach myśliwskich. Zresztą niech każdy z członków tych Towarzystw policzy, ile razy w roku polował w niedzielę, a ile razy w dzień powszedni, a jestem przekonany, że plus wypadnie na dni powszednie.

Towarzystwa zresztą takie mają siedzibę w miastach i przeważnie dzierżawią polowania na gruntach położonych w pobliżu miasta. Na tych gruntach w lecie, w niedzielę, zwykle i polować nie można, gdyż pełno na nich wycieczkowców i zdarzyćby się mogło, iż taki niedzielny strzelec, zamiast zająca, mógłby upolować którego z wycieczkowców.

Zdaje mi się, że dość przytoczyłem danych, aby udowodnić, iż płonną jest także obawa, żeby zakaz polowania w niedzielę mógł zachwiać bytem Towarzystw myśliwskich.

Przebaczcie mi łaskawi czytelnicy, (naturalnie w tym razie, jeśli redakcya uwagi me wydrukuje, a nie uzna ich za godne redakcyjnego kosza), że tak obszernie rozpisałem się o niedzieli i świętach, ale musiałem wypowiedzieć to, co mi leżało na sercu.

Skończywszy uwagi moje o §. 41, muszę jeszcze w kilku słowach wspomnieć o wniosku p. Leona Krobickiego. Mnie się również bardzo uśmiecha myśl Związku Towarzystw myśliwskich, myśl połączenia wszystkich myśliwych w jeden silny, trwały Związek. Razem złączeni myśliwi mogliby wiele zdziałać tak dla dobra swego, jakoteż dla gospodarki łowieckiej w kraju. Mam nadzieję, że Wydział Towarzystwa łowieckiego, który tyle już w ostatnich dwóch latach po reorganizacyi Towarzystwa, dał dowodów, iż stara się i umie każdą myśl piękną doprowadzić do celu i tem się zajmie i że pracę jego w tej mierze pomyślny uwieńczy skutek. Spodziewam się tego po znanej mi energii wiceprezesa Tow. łowieckiego, który jest wszędzie tam, gdzie chodzi o przeprowadzenie myśli zdrowej i pięknej i po ruchliwości sekretaryatu czy kancelaryi Wydziału, której gorliwość o sprawy Towarzystwa i rozwój łowiectwa w kraju poznałem z całego szeregu odezw, listów i okólników, wysełanych do członków Towarzystwa w najrozmaitszych sprawach. Jeżeli biuro to potrafiło rozruszać trochę za ociężałe koło członków Tow. do raźniejszej pracy, to widać, że na energii, ruchliwości i cierpliwości mu nie zbywa i że potrafi każdą myśl przeprowadzić, wierne zasadzie, że *gutta cavat lapidem*.

Wielka usługa, którą Wydział Tow. łowieckiego oddał naszym myśliwym, przeminęła jakoś na zjeździe bez zwrócenia na siebie uwagi. Mówię tu o okólniku namiestnictwa, o którym przewodniczący hr. Zamoyski wspominał na zjeździe, a który w całości jest wydrukowany w poprzednim numerze *Łowca*. Rozporządzenie namiestnictwa do starostw, aby na rzeczoznawców w sprawach myśliwskich, wyliczonych w ustawie łowieckiej, powoływano w pierwszym rzędzie delegatów Towarzystwa i członków jego, ma dla nas myśliwych doniosłe znaczenie. Dziś wiemy, że nawet w takich powiatach, w których starostowie nie są zwolennikami łowiectwa, wszelkie zawikłane sprawy łowieckie i spory nie będą załatwiali rzeczoznawcy nie rozumiejący się na rzeczy, jak to niestety dotychczas nieraz bywało, lecz wytrawni myśliwi, obznajomieni z ustawą, prawami zwyczajowemi i stosunkami danej okolicy. To nam daje rękojmię, że każda sprawa będzie załatwioną dobrze i sprawiedliwie.

---

*) Z największą chęcią otworzymy łamy naszego pisma dla wszelkich głosów i uwag w sprawie zmian w ustawie łowieckiej, gdyż obszerne omówienie tej kwestyi może przynieść tylko pożytek łowiectwu. Przyp. redakcyi *Łowca*.

Wydziałowi Towarzystwa łowieckiego za to, że staraniem swem przeprowadziło wydanie owego okólnika, szczere należy się podziękowanie od nas myśliwych.

Rozpisawszy się tak szeroko, nadużywszy grzeczności redakcyi i cierpliwości czytelników, kończę, przesyłając Wydziałowi Towarzystwa łowieckiego imieniem mojem i grona mych przyjaciół myśliwych serdeczne dzięki za ostatni okólnik i za starania i trudy, jakich Wydział nie szczędzi w obronie naszej dla dobra i rozwoju łowiectwa w kraju.

Zdzisław K.



ŻÓRAW.

II.

(Wędrówki. — Popasy. — Lęgi. — Żórawie jałowe. — Życie jesienne. — Odlot. — Bajeczki o jeżdżących ptakach).

Żóraw przelatując w swych wędrówkach około 10 mil na godzinę, potrzebowałby 80 godzin co najmniej, aby stosunkowo wolnym lotem przebyć 800 milową drogę, dzielącą jego zimowe kwatery od właściwej ojczyzny. Ponieważ jednak ptactwo to urządza częste popasy — osobliwie w późnej porze porannej — wędrówka przeciąga się do dni 10 i więcej. W latach wcześnie rozpoczynających się wędrówek wiosennych, ptak się wcale nie śpieszy i chętnie zapada nawet na dłuższe popasy, jednak i w takich razach nie nocuje, lecz ciągnie znów dalej w porze popołudniowej. Gdy zima i dżdżysta pora opóźniła ciągi, widać w pierwszym pogodnym dniu pewien pośpiech, w rozmaitych porach dnia przeciągają liczne klucze żórawi, nie zatrzymując się wcale, a nawet i pory nocnej używa ptak do dalszej wędrówki i częstokroć, niby duchów czarnych szeregi, przesuwają się wędrowne stada przez świetlaną tarczę księżyca, a przytłumiony wab z niezmiernej wysokości poucza niewątpliwie, że to żórawie mkną nocnymi szlaki ponad nasze posady.

Według powszechnej wiary, żóraw, lecący na czele klucza, jest przewodnikiem, jednak częste zmienianie się tego przewodnika i zastępstwo innym ptakiem, wskazuje, że nie jest to przewodnik, ale raczej koniecznością powołany przodownik, ktoś bowiem musi być pierwszym w klinowym układzie lecących ptaków. Niezawodnie, że przodownik ten najtrudniejszą ma rolę, bo przecinać musi przed sobą spokojne jeszcze warstwy powietrza, skutkiem czego się najprędzej męczy i często zluzowanym być musi. Zwracając baczną uwagę na wędrujące żórawie, bardzo często można dostrzedz wykonywanie takich zmian przodownika.

Wielki i silny żóraw nie ma się zbyt wiele obawiać napaści ptaków drapieżnych, jedynie chyba tylko orzeł pokusi się czasem o taką zdobycz i wpadnie na szeregi żórawi. Wtenczas szyki klucza się mącą, stado zbija się w okrągłą kupę; przeraźliwe krzyki rozdzierają powietrze i zazwyczaj nawet siła króla ptaków rozbija się o falangę skrzydeł i najeżonych dziobów.

Gdy w ogólności ptactwo w wędrówkach swych umie wyzyskać najkorzystniejsze do lotu prądy atmosferyczne, to szczególnie żóraw jest w tym kierunku eklektykiem nielada. Nie rzadko darmo wytęża się oko, aby, idąc za słuchem, dostrzedz klucz żórawi w błękicie. W innych znów razach przelatują one nisko po nad ziemią tak, że odróżnić można najsubtelniejsze ruchy każdego z ptaków, a ucha dochodzi szelest skrzydeł. Tak na wiosnę, jakoteż w jesieni wysokość lotu i zachowanie się żórawi podczas wędrówki nastręczają dla augurów meteorologicznych pomiędzy ludem mnóstwa materyału do przepowiedni, budzących zawsze ciekawość ogółu. Wysoko lecące stada mają przepowiadać pogodę, zwłaszcza, gdy ptactwo silnie wesołymi odzywa się krzyki, przeciwnie nizkie, a ciche ciągi nieomylnie zimno i dżdżystą przepowiadają porę. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że żóraw, podobnie jak inne ptactwo, organizmem swym odczuwa najsubtelniejsze zmiany w stanie i w prądach atmosfery, które następnie przy współdziałaniu innych czynników warunkują kształtowanie się stosunków meteorologicznych, jednak oznajmiając o takich zmianach i żóraw nie może być uważany za nieomylnego proroka — wesełyki, jak lud na Rusi nazywa żórawie, wskazywać mogą li tylko pewne zmiany w warstwowym charakterze atmosfery, zachowanie się żórawi może być tylko czynnikiem pomocniczym do wyroczni meteorologicznych dla tych, którzy nie posiadając innych ku temu środków kulturnych, skazani są na kombinacye niezawodnie pewnych, ale nie zawsze dostatecznie wyrozumianych zjawisk w naturze.

Częstokroć na tym lotnym i na wskróś wpływem atmosferycznym przesiąkniętym organizmie widzimy skutki jakichś innych bardzo oddalonych wrażeń i w takim razie z zachowania się ptactwa wędrownego, można najniesłuszniejsze wyciągnąć wnioski co do przyszłości atmosfery, którą ptak chwilowo przelatuje. Odróżnić tu należy również wędrówki właściwe od przelatywań stad w pewnej okolicy, którą obrano za miejsce spoczynku. Kto się nieco bliżej zapoznał z wędrówkami ptaków, ten odrazu potrafi odróżnić wędrówkę od przelatywania w celach wyszukania żeru. Żórawie w porze jesiennej gromadząc się chmarami, prowadzą w pewnej okolicy cygański żywot. Dostrzedz wtenczas można w rozmaitych porach dnia przelatujące klucze w najróżniejszych kierunkach, a w żołądku ptaka i w stosunkach danej okolicy leżą klucze do rozwiązania tej gmatwaniny. Ptak wycieńczony lęgiem, oddaje się teraz z wielkiem łakomstwem odżywianiu, chcąc nabrać niezbędnych sił do dalekiej podróży. Z dość ścisłego animalisty staje się prawie wyłącznym wegetaryaninem, odwiedza zasiewy ozime, wygrzebuje ziarno lub wyskubuje piórka zeszłego zboża. Przy takich siadłach na odkrytych łanach zdradza zmysł taktyczny, jakiego by mu mógł pozazdrościć niejeden wódz armii. Na falistym terenie pomiędzy Rudkami i Komarnem, stanowiącem od dłuższego czasu ulubione miejsce dla ćwiczeń i popisów strategii i taktyki, w każdej jesieni włóczą się niezliczone stada żórawi, a w latach 1884 i 1885 dokuczały do tego stopnia oziminom

na polach Ostrowa (przy gościńcu Rudecko-Komarniańskim) że trzeba było trzymać osobnego strażnika do odpędzania żórawi, przekopujących literalnie zasianą pszenicę. Chłopu, któremu powierzono tę misyę, dano rusznicę, z której on jednak żadnego realnego użytku nie mógł zrobić. Podejście, podsunięcie się pod stada żerujące było rzeczą niepodobną, a gdy strażnik ze swą rusznicą pokazał się w oddali, z której strzał był niemożebny, żórawie przelatywały na drugą falę terenu i mając baczną uwagę na każdy ruch człowieka z rusznicą, żerowały dalej. Trwała ta zabawka aż późno w listopad; czego nie dokazał strażnik, stało się pod wpływem zbliżającej się zimy. Mroźny wiatr powiał od północnego wschodu, donosząc niezawodnie na swych skrzydłach pobrzęki lodowych kajdan, ściskających już całą naturę na stronie północnej; już rzadkie śniegu płatki gonią się w powietrzu, ale ziemia jeszcze nie zamarzła, żerowanie wcale nieutrudnione. To też jeszcze kilka dni wałęsają się stada i żerują całkiem wygodnie, nie zdradzając niczem ułożonych planów. Raptem odzywa się donośne kieranie pojedynczych ptaków, żórawie porywają się do lotu, głosy się mnożą, wreszcie z wrzaskiem przeraźliwym stada wzbijają się w górę, szykują się na klucze i jadą na południe, przesyłając z niedoścignionych wyżyn oderwane głosy pożegnania. Teraz już nie „wesełyki“, ale prawdziwe „żurawli“ dmą we swą pożegnalną tubę, a brzmienia te tyle różowych nadziei budząc na wiosnę, jakiś elegijny wpływ wywierają na człowieka i na cały świat ptaszy. Według wiary starych ptaszników wszystko zwraca uwagę na czyn mądrego żórawia i wnet znika reszta zapóźnionych wędrownych ptaków pod grozą zbliżającej się zimy.

Wyobraźnia ludowa w niektórych krajach poszła jeszcze dalej — oto niektóre małe ptaszki wędrowne, nietylko że naśladować mają czyny roztropnych żórawi, ale nawet obierać mają grzbiet tych ptaków do jazdy dalekiej i przebywają w ten sposób najwygodniejszy podróż do brzegów afrykańskich. Jeszcze w roku 1891 w pracy mej o wędrówkach ptaków (*Łowiec*) omawiałem w ogólności tę kwestyę, podsycaną niezawodnie fantazyą ludu i niedostatecznem spostrzeżeniem na którem nawet niektórzy przyrodnicy oparli swe awanturnicze twierdzenia, tak że kwestya jazdy ptasiej omawianą jest na seryo nawet w pismach niektórych specyalnych ornitologów. Od dłuższego czasu, niby bajka o wężu morskim, pojawiają się w prasie peryodycznej uparte wiadomości o spostrzeżeniach, mających nibyto stwierdzać, że na grzbietach bocianów, czapel i żórawi mają podróżować rozmaite drobne ptaszki. Jeden widział samych pasażerów, drugi słyszał ich głosy podczas przelotu ptactwa i zaręcza, że pochodziły one z grzbietów tych żywych wehikułów, dość że sensacyjna ta kwestya daje ciągle mnóstwo materyału do zaciekawienia szerokich kół. Gdyby rzecz sama nie miała podstawy w bardzo starej wierze, już by dawno o niej zapomniano, wszak nie ma ani jednego ścisłego spostrzeżenia, któreby usprawiedliwiało podtrzymanie podobnych twierdzeń, tymczasem ślepa wiara ludzi podtrzymuje w błędzie i badaczy, tak że nazbyt zwolna tylko odkrywa się fantazyjny charakter kwestyi o ptakach jeżdżących. I tak np. czasopismo „Gartenlaube“, zamieszczając przedtem bardzo często wiadomości o ptakach jeżdżących, zamieściło w 1894 r. str. 510 artykuł, w którym autor przyznaje się do spostrzeżenia, że w głosach rzekomych jeźdźców „rozpoznał głosy młodych żórawi“, szkoda, że obserwacyę tę uczynił autor dopiero w rok po odprawie danej tej teoryi przez Henryka Schachta, badacza lasu teutoburskiego (Ein ornitologisches Märchen Monatsch. des deutsch. Vereines zum Schutze der Vogelwelt. 1893. S. 280—288).

Tajemnicze pojawianie się i znikanie pewnych gatunków ptactwa, a osobliwie gatunków drobnych, o których mechanicznej możności odbywania dalekich podróży powątpiewa umysł prostaczy, dawało podstawy do wybujałych kombinacyj i powstawania bajeczek, którym częstokroć byle jaki pozór nadawał cechę rzeczywistości. Tymczasem im dalej rozciągają się badania ściśle lotu i wędrówek ptaków, tem jaskrawiej występują błędy, na jakich budowano dalsze wnioski. Umysł człowieka, przywiązanego do ziemi, czując się zupełnie obcym w ptasim żywiole, nie mógł się zoryentować w istocie lotu, a już wcale nie doceniał siły i możności odbywania tysiące mil mierzącej drogi powietrznej u wątłych na pozór ptaszków. Dopiero bliższe rozpoznanie mechaniki lotu i ściśle badania wędrownych ptaków oczyściły tę kwestyę z zastarzałych błędów. Im głębiej sięga badawcza praca specyalistów w ten niedawny jeszcze świat tajemnic tem większe odkrywa niespodzianki, wnioskując na gruncie faktów o jakiejś prawdziwie demonicznej chyżości lotu wędrujących drobnych ptaszków.

Oto jeden z wielu przykładów, którebym tu mógł przytoczyć. Drobniutka ptaszyna, t. zw. rudnik szwedzki, przepędzająca zimę w Egipcie, zjawia się w licznych stadach w porze wiosennej na wyspie Helgolandzie, podczas gdy jej nigdzie dostrzedz nie można na stałym lądzie Europy przelatującej w stadach o tej porze.

Opierając się na tym zbiegu okoliczności, przypuszcza znany badacz wędrówek ptaków na Helgolandzie Gaetke, że ptaszek ten całą podróż od brzegów Egiptu odbywa w ciągu jednej nocy — co odpowiada szybkości 47 mil geogr. na godzinę.

W każdym razie na zbyt błahych podstawach opiera się to śmiałe przypuszczenie, dając najskrajniejsze wyobrażenie o fizycznej możności drobniutkiego ptaszka. Jest to jedna z wiecznie powtarzających kolei ludzkich kombinacyj, zanim myśl dojdzie pewności i uderzy w sedno prawdy. Niby na wzburzonych falach kołyszą się myśli i wnioski, ptaszek, który do niedawna jeszcze potrzebował grzbietu bociana lub żórawia, aby odbyć daleką podróż, przelatuje teraz ogromne przestwory z chyżością meteoru. Jednak takie starcia skrajnych pojęć to konieczny wstęp do prawdy, może niezadługo uspokoją się burzliwe fale i w przeczystym lustrze prawdziwie szlachetnych zapasów dojrzymy wreszcie wstydliwą prawdę natury.

Wł. Spausta.



Chów bażantów i kuropatw

przez
WŁODZIMIERZA LEWICKIEGO, łowczego w Łańcucie.

(Dokończenie).

CHÓW SZTUCZNY.

Po 20 dniach należy stopniowo i coraz więcej ujmować jajecznicy, a w miarę tego dodawać grochu ugotowanego dobrze w wodzie, ugniecionego i z łusek obranego, tak aby już w szóstym tygodniu bażanty śmiało i bezpiecznie na sam groch przejść mogły. Później do grochu takiego, gotowanego zawsze, zaczyna się dodawać po troszę pszenicy gotowanej, nasamprzód w mleku, później w wodzie, a w końcu już niegotowanej, aż bażanty na samą czystą i niegotowaną pszenicę przejdą; z tą chwilą i chów sztuczny za ukończony uważać należy.

W trzecim dniu po wypadnięciu można dawać bażantom jaja mrówcze na przemian ze sztucznem pożywieniem, nigdy atoli dawać nie można mrówek lasowych (dużych i czarnych) tylko zawsze brane z łąk i pól i tylko w dni pogodne i dopiero później w dzień około godziny 8—9, gdy już rosa obeschła. Wszelką karmę, a nawet jaja mrówcze, lepiej jest zadawać bażantom w mniejszych dawkach a częściej, jak dużo a rzadziej, bo o wiele lepiej, gdy bażanty są głodne (prawie zawsze), niż gdy są przeładowane jedzeniem i wskutek tego chore.

W 6-tym dniu i tylko po przyprawionem jedzeniu sztucznem, można już dać bażantom w płytkich miseczkach wody, lecz należy ją po kwadransie zabrać, aby w niej się nie pluskały i jakiej choroby się nie nabawiły.

W dni słotne i zimne nie powinno się wcale dawać wody bażantom, a tak samo i po zadaniu jaj mrówczych, nie należy dawać wody

Powyżej opisaną karmę jak i jaja mrówcze dawać należy bażantom w następującym porządku: o 6-tej i 7-mej rano pokarm sztuczny, o 8-mej jaja mrówcze, o 9-tej i 10-tej znów pokarm sztuczny, o 11-tej jaja mrówcze i t. d., na przemian dwa razy pokarm sztuczny, a raz jaja mrówcze aż do wieczora.

Karma zadawana bażantom powinna być zawsze świeża, a nie z dnia na dzień przysposabiana i przechowywana, wtedy bowiem zanadto wysecha, kwaśnieje i staje się dla bażantów szkodliwą. Karmę zadawać należy bażantom zawsze w cieniu lub pod ochroną drzewek, aby również za prędko nie wysechała i nie psuła się, a tem samem bażantom nie zaszkodziła. Dlatego też należy wszelką niedojedzoną i wyschniętą karmę pilnie i dobrze zmiatać i sprzątnąć z deszczułek (t. zw. futterbretów), aby jej bażanty nie jadły.

Bardzo ważnem jest dla bażantów, a szczególnie zaraz w pierwszej młodości, by miały dostateczny cień i chłód; gdzie niema krzaków i drzewek, tam należy sztucznie temu brakowi zaradzić przez wtykanie gałązek świerczyny, sośniny lub jedliny i przez nakładanie świeżo ukopanych darni z trawą.

W czwartym tygodniu zwykle wypędza się bażanty na paszę, z początku bliżej a później coraz to dalej, a zawsze po nakarmieniu już bażantów jajami mrówczemi. Jest to — zdaniem mojem — czas najstosowniejszy, później bowiem, gdy są już starsze, nie tak łatwo dają się od budek i szopy odpędzać. W tym też czasie radzę dawać bażantom w domieszce ze sztuczną karmą wytłoku z czosnku, co bardzo skutecznie działa na wszelkie robaki.

W budkach, gdzie indyki z młodymi bażantami siedzą, ścielić należy sianem, chociaż niewiele, ale dość często, aby tym sposobem zapobiedz rozmnażaniu się wszelkich nieczystości, trapiących indyki i bażanty. To też pilne i częste posypywanie indyczek Zacherlinem w czas i skutecznie zanieczyszczenie uchyli. Czystość i schludność podczas chowu całego jest jedynym i najważniejszym warunkiem pomyślnego rezultatu.

Indyki w budkach karmić należy obficie pszenicą raz na dzień, w południe, ale pilnować przytem wypada, by bażanty jej nie jadły, jak również, aby w wodzie indykom podawanej nie pluskały się. Później, gdy już bażanty są duże i pszenica im zaszkodzić nie może, przestrzegać tego już nie potrzeba, a nawet więcej pszenicy podawać należy indykom, aby i bażanty przyzwyczajały się do jej jedzenia. Najlepiej postąpimy, gdy podczas pierwszej młodości bażantów (w pierwszych trzech tygodniach) hodować będziemy indyki kukurudzą, tej bowiem bażanty nie biorą, bo za duża dla nich i na żadne niebezpieczeństwo nie narażają się.

Bażanty sztucznie chowane podpadają różnym chorobom i dolegliwościom, jak ślepocie, kurczom w nogach, schnięciu, dostają robaków w przewodzie pokarmowym, w krtani, wreszcie zapadają na biegunkę i pypeć. Wszystkie te choroby biorą swój początek w niestosownem obchodzeniu się z bażantami, w nieodpowiedniej i za małej troskliwości o nie, w złym pokarmie, w wilgoci, zimnie, dalej wskutek za wielkiego i ostrego gorąca, skwaru słonecznego itp. różnych innych przyczyn. Zadaniem tedy hodowcy bażantów jest wszystkie te przyczyny złego naprzód usunąć i nie dopuścić do choroby, bo gdy ona między bażantami się pojawi, wówczas już za późno radzić i kurować, gdyż z taką bowiem masą bażantów, (jaką zwykle w chowie mamy), nie tak łatwo dać sobie radę; wiedza lekarska nie sięga jeszcze w tym kierunku tak daleko i nie podaje prawie żadnych radykalnych środków na zaradzenie tej lub owej chorobie.

Zwykle zapadają bażanty na ślepotę od skwaru słonecznego, kurczów dostają od zimna, wilgoci i słoty, wycieńczenia od zanadto suchego i przestarzałego pokarmu, robaków z wilgoci i z miejsca bagnistego i cuchnącego, wreszcie biegunkę i pypeć, tak samo z nieodpowiedniego i za suchego pokarmu, z przeładowania żołądka lub też, gdy w dni słotne i bardzo rano, gdy jeszcze rosa nie obeschła, dostają jaj mrówczych i wody (po tych mrówkach) do picia. To jednak wszystko zależy tylko od nas samych, od naszej wprawy, wiedzy, troskliwości i zapobiegliwości podczas całego chowu; nie dopuszczajmy do tego wszystkiego, usuwajmy wszelkie przyczyny mogące chorobę sprowadzić, a do klęski nie dojdzie i bażanty zdrowo wychowamy. Widać więc z tego wszystkiego, o ile to ba-

żantarnik fachowy, praktyczny i ze wszystkiem obeznany, pożądanym jest przy chowie, ile to złego usunąć i w czas zapobiedz potrafi, a wreszcie już podczas samej choroby wie co i jak na nią zaradzić i jak ją usunąć.

Radzę tedy jeszcze raz, bez człowieka fachowo i praktycznie z chowem bażantów obeznanego, nie zaczynać chowu, bo szkoda kosztów i zachodu, bo bażantów wychować nie potrafimy.

Z własnej praktyki nabyte niektóre wskazówki i środki podaję poniżej szan. czytelnikom *Łowca* do wiadomości.

I tak na ślepotę radzę przedewszystkiem powtykać gałązki świerkowe, sosnowe i inne przed budkami, gdzie się bażanty chowają, aby tym sposobem uchronić je od zbytniego skwaru słonecznego, a dać im pożądany chłód i cień; dalej radzę wszystkie chore odłączyć od zdrowych, więcej je pielęgnować, lepszą i mocniejszą karmę podawać, aby tem więcej siły nabrały i do zdrowia przyszły, wreszcie radzę smarować oczy oliwą lub maścią cynkową, a silniejsze i niezupełnie jeszcze ślepe łatwo przyjść mogą do siebie i wyzdrowieją.

Bażanty mające już kilka tygodni zaczynają czasami smutnieć, opuszczają skrzydła kaszlą, prychają i charczą. Jest to znakiem, że mają robaki lub też dostały pypeć. Robaków (Syngamus trachealis, Luftröhren-Wurm) podobnych do czerwonej nici jedwabnej, długich na 1—1 $^1/_2$ cm. dostają bażanty w krtani z wilgoci i zimna najczęściej, a chorobę tę nie tak łatwo usunąć można i najczęściej bażanty chore na nią giną. Przedewszystkiem i stanowczo należy chore odłączyć, by się reszta nie zaraziła, dać do suchego, ciepłego i oddalonego miejsca, zmienić pokarm na lepszy i lżejszy, a wreszcie próbować inhalować bażanty za pomocą kwasu karbolowego. Sposobem tym tego roku właśnie uratowałem od tej choroby przeszło 600 bażantów w jednej z naszych bażantarni. Chcąc tej operacyi dokonać, wpędzam bażanty albo do jakiej komórki, albo też nakrywam wszystkie wieczorem, gdy już siedzą w budkach i pod indykami, płachtami, wstawiam pod nie rozgrzane żelazo (dusze od prasowania) i polewam je kwasem karbolowym dopóty, póki się dostateczna ilość pary nie wytworzy i póki bażanty często prychać i kaszleć nie zaczną; po półgodzinnem takiem inhalowaniu wypuszczam bażanty na wolność i odkrywam.

Na pypeć radzę tylko zmianę pokarmu na lżejszy.

Gdy bażanty wypędzamy już na paszę, zdarza się często, że taki młody i niedoświadczony ptak znajdzie i połknie niejednego szkodliwego owada i chrząszcza, a bardzo często pewną cykadę (Schaumcicade, Aprophora spumaria), która zdolność swoją wytwarzania pewnego rodzaju śliny (piany) i w żołądku bażanta dalej kontynuuje i tem formalnie zadusza ptaka. Gdy tedy spostrzeżemy, że ten i ów bażant pianę z dziuba toczy, strzepuje głową i smutnieje, należy ująć go w garść w ten sposób, by mu główka zwisała, wytłoczyć z niego palcami pianę, strzepać silnym rzutem ręki pianę z dziuba ptaka, umaczać źdźbło słomy w czystej wódce i wpuścić kroplę bażantowi w gardziel, a wnet ślinić przestanie i zdrów będzie.

Podczas długotrwałych deszczów, zimna i wilgoci dostają bażanty kurczów w nogach i chodzić nie mogą. Na to nie znam środka innego, jak tylko wyłączyć chore bażanty osobno i dać im dobrą, tłustą i spokojną indyczkę, przenieść je w inne suche i ciepłe miejsce, a pokarm zmienić na lepszy i wolniejszy.

Gdy bażanty dostaną biegunkę, tak samo należy wyłączyć ich osobno, dać pod dobrą, tłustą i spokojną indyczkę, przenieść do ciepłej komory, zmienić pokarm na lżejszy, a do picia podawać im odwaru z młodych szyszek świerkowych, lub też wody czystej z domieszką wina czerwonego, albo wreszcie wody żelaznej, w której przez 24 godzin było namoczone jakieś stare żelazo. Gdy bażanty chorują na biegunkę, mrówek dawać nie należy.

Na jakąkolwiekbądź chorobę zapadłe bażanty, radzę także zawsze wyłączyć, aby, jeżeli już ich uratować nie można, inne zdrowe nie zaraziły się i nie zachorowały.

Wiele innych trafnych uwag i wskazówek jak w tej lub owej chorobie z bażantami postępować należy i radzić, podaje Cronau w swem dziele „Die Fasanen-Pflege und Aufzucht“ von C. Cronau, Strassburg, Karl J. Trübner Verlagsbuchhandlung albo też u W. Fricka w Wiedniu. Książkę tę radzę każdemu, kto zamierza chować bażanty, nabyć, a wiele zyska i bardzo często złemu skutecznie i wczas zapobiedz potrafi.

W całym moim niniejszym opisie ciągle prawie mówiłem o bażantach, a o kuropatwach mniej, wszystko bowiem przytoczone w równej mierze prawie i tak samo da się i do chowu tych ostatnich zastosować, a poniekąd nawet z lepszym skutkiem. Kuropatwa bowiem nie jest, jak to w *Łowcu* z marca r. b. było powiedzianem, trudniejszą do chowania od bażanta, lecz przeciwnie daleko łatwiejszą, bo zaledwie w pierwszych dniach swej młodości potrzebuje nieco troskliwości i pielęgnowania, a później byle tylko miała podostatkiem jaj mrówczych, trochę jajecznicy, dalej krup (jagły) gotowanych, prosa, chleba i sera, to z pewnością dobrze się wychowa.

Prawda, że kuropatwa jako stworzenie tak wątłe i małe bardzo łatwo, zwłaszcza w pierwszych dniach po wylęgnięciu, przez tak wielkę, ciężką, a przybraną swą matkę indyczkę lub kurę zadeptaną być może, w czem właśnie leży owa, w *Łowcu* z marca r. b. przytoczona, trudność wychowania ich, lecz na to wnet i bardzo łatwo poradzić można, a to w ten sposób, gdy do wysiadywania jaj kuropatwich i dalszego ich prowadzenia, użyjemy kureczek małych, zwanych „Zwerghühner“, a zaręczam, że tak, jak w skarbie łańcuckim, bardzo łatwo i pewnie dadzą się wychować.

Zwrócić mi wypada uwagę szanownych pp. hodowców i czytelników jeszcze i na to, że kuropatwa bardzo jest czułą, wrażliwą i niewytrzymałą na wszystkie nieczystości, a na wszy i pchły przedewszystkiem. Należy tedy bardzo przestrzegać i często posypywać Zacherlinem kury i indyki, aby pcheł i wszy nie miały, bo gdy te dostaną się i opadną młode kuropatwy, wnet nędznieć zaczną i wyginą.

Na tem kończę, uważam bowiem debatę moją i cały opis bażantów i kuropatw, o ile wiedza moja w tym względzie sięga, za wyczerpane; pożądanem jednak byłoby bardzo, gdyby jeszcze kto i ze swej strony parę słów w tej kwestyi dodać raczył, a sądzę, że całość tem lepiej zaokrągliłaby się i uformowała, a tem samem o tyle większy pożytek myśliwstwu naszemu i rozmnoży bażantów i kuropatw przynieśćby mogła.

STARY DZIK.

(Dokończenie).

Pan Piotr uśmiechnął się gorzkim uśmiechem.

— Nie, mój drogi, nie przyjdę do siebie. A zresztą już czas na mnie! — dodał po chwili.

Żurowski powoli pochylił się do wyciągniętej na kołdrze ręki „starego dzika“ i pocałował ją lekko.

Pan Piotr drgnął, ale ręki nie cofnął.

Żurowski nie odejmując od niej ust, pocałował ją jeszcze raz, drugi, trzeci...

Pan Piotr odwrócił głowę do ściany i łza za łzą toczyła się po jego wychudłej, surowej twarzy.

Żurowski wstał i wyszedł z pokoju. Pan Piotr nie ruszył się i leżał po dawnemu, odwrócony do ściany.

Żurowski szedł długim korytarzem, nie wiedząc sam dokąd i po co. Rozumiał tylko, że musi wyjść... pozostać, chociaż przez chwilę sam jeden... odetchnąć, zebrać myśli.

Korytarz kończył się drzwiami.

Stał przez chwilę, nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu pana Piotra.

Roztargniony obejrzał się dokoła i owładnęło nim znowu jakieś przykre uczucie.

Starożytne sprzęty wyglądały okrutnie, nieprzyjemnie, i niegościnnie. Zakryte nimi były wszystkie kąty; a mimoto pokój wydawał się pustym. Wszystko nosiło na sobie jakieś surowe, ponure piętno... niski sufit przygniatał, dusił.

Żurowski podszedł do stołu i usiadł przy nim w wielkim wolterowskim fotelu. Myśli zaczęły mu się cisnąć do głowy, goniły jedna drugą, ale jakieś niejasne, dziwne — nie mógł uchwycić ani jednej z nich.

Na stole leżała otwarta książka. Machinalnie wziął ją do ręki i spojrzał...

„*Jakże piękne, jak świeże były róże*“...

— Ładny wiersz... czytał go gdzieś, a jaki śliczny sztylet... Ile tu broni!

Żurowski wstał i roztargniony zaczął oglądać zbiór broni. Przykre uczucie nie opuszczało go. Chciałby wyjść na powietrze, pod otwarte niebo, wciągnąć w siebie pełną piersią świeżego powietrza...

Zrobił kilka kroków i przez otwarte drzwi zajrzał do sąsiedniego pokoju.

Cały szereg potretów familijnych spojrzał na niego surowym wzrokiem i stało mu się jeszcze przykrzej, jeszcze ciężej na duszy.

Z tyłu dały się słyszeć ciche kroki.

Odwrócił się niemal z przerażeniem.

Weszła Katarzyna.

Pan przeprasza... jest bardzo znużony i nie może się już widzieć z panem.

— Pojadę, tak, natychmiast pojadę — rzekł zafrasowany Żurowski.

— Pan prosi, żeby pan jeszcze przyjechał.

— Dobrze, przyjadę.

— Pan prosi, aby pan koniecznie przyjechał.

— Tak, tak, bezwarunko przyjadę jutro, może pojutrze, będę przyjeżdżał co dnia!

Katarzyna wyprowadziła go do przedpokoju i podała mu futro. Ubierał się prędko i spieszył ku wyjściu.

Nagle Katarzyna rzuciła się ku niemu, uchwyciła go za rękę i chciała pocałować ją.

— Cóż znowu, cóż znowu, Katarzyno! — zawołał, wyrywając rękę.

— Niech pan przyjedzie, niech pan nie zapomni! — mówiła prędko staruszka i zalewając się nagle rzewnemi łzami, wybiegła szybko z przedsionka.

Jakby oszołomiony, odurzony, wsiadł Żurowski do sań i pojechał.

Gdy jednakowoż mroźny wiatr uderzył go w twarz, przyszedł do siebie, zebrał myśli i nagle zawstydził się.

— Jakież ja mam niedobre, brzydkie serce! Niejako się ucieszyłem, że mi pozwolił pojechać sobie. Staruszek wyratował mnie od niechybnej śmierci, wyratował po bohatersku, a ja? Wstyd, wstyd! Nawet ta stara klucznica i ta... Wstyd, hańba!

Młodzieniec smutnie spuścił głowę na piersi i patrzył przed siebie zmartwiony.

— Koń dobrze idzie... Co za chód! Co za postawa!

Koń rzeczywiście ruszył z kopyta i niósł jak wiatr.

Byli już niedaleko domu, gdy spotkał ich doktor, który zabawił dłużej u księcia. Pragnął się dowiedzieć o rezultacie wizyty i zatrzymał Żurowskiego.

— No i cóż tam? — pytał. — Stary dobrze pana przyjął?

— O tak, był bardzo uprzejmy, bardzo łaskaw. Patrz pan, podarował mi medalion z portretem matki.

Żurowski pokazał medalion.

— No, proszę — rzekł doktor. — I cóż, pojedziesz pan go niego jeszcze raz?

— Naturalnie! będę do niego jeździł co dnia. On tego pragnie.

Doktor zamyślił się.

— Nie, wie pan co, co dnia nie można. Toby go w każdym razie zanadto męczyło. Na kiedy mu pan przyrzekłeś następną wizytę?

— Jutro, bezwarunkowo jutro...

— No, nie, jutro nie można. To mu szkodzi. Jedź pan pojutrze.

— Ależ przyrzekłem, będzie czekał.

— To nic. Będę u niego jutro i powiem, że nie można. Powiem, że pan będzie pojutrze — nalegał doktor, tak, jak gdyby tu szło o liczbę łyżek przepisanej przez niego mikstury.

— Jeżeli nie można, to pojadę pojutrze.

Koń nie mógł ustać na miejscu.

— Doskonale, a teraz do widzenia.

Żurowski wsiadł szybko do sań, klacz posunęła jeszcze szybciej.

* * *

Żurowski powiedział prawdę, że córka księcia przybyła na wakacye, lubiła się bawić. Sam książę także nie lubił się nudzić i święta u niego obchodzono wesoło i hucznie. Co dnia dom był pełen gości i zabawa rozpoczynała się od samego rana, ale na drugi dzień po wizycie Żurow-

skiego u pana Piotra, nie przyjechał nikt. Żurowski nudził się i bez celu włóczył się z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Ciągnęło go coś do pana Piotra. Napróżno przyrzekł doktorowi, że nie pojedzie. Poprosi wuja o konia, ale nie tego, który wczoraj chodził, innego. Nie, to nie wypada. Przyrzekł doktorowi, że nie po edzie, a być może, że wizyta jego w istocie zaszkodzi staremu. Żurowski został w domu.

Nazajutrz zaczął się zbierać od samego rana.

— Pojedziesz przed śniadaniem, czy też po niem? — zapytał go książę.

Zamyślił się. Jeść mu się chciało, a prócz tego może pan Piotr długo go zatrzyma.

— Naturalnie, lepiej zjedz śniadanie w domu — rzekł książę.

Na śniadanie przyjechali goście. Po śniadaniu rozpoczęła się rozmowa o koniach. Książę twierdził, że „Łabędź“ jest najlepszym z jego koni.

— Oh, „Strzałka“ prześcignie go bezwarunkowo — oponował Żurowski.

— Możemy się o tem dziś jeszcze przekonać — rzekł książę. — Weź ty „Strzałkę“, a ja wezmę „Łabędzia“ i zobaczymy.

Po powrocie Żurowski był zachwycony, „Strzałka“ zwyciężyła.

Pilno mu było zjeść obiad, aby się dostać do pana Piotra.

— Dziś chyba już zapóźno — zauważył książę — jakoś to nie można jechać do niego wieczorem.

— Tak, to prawda! Że mi też to wcześniej na myśl nie przyszło, że wieczorem nie można.

— Prócz tego, czem pojedziesz? Wszystkie konie pomęczone, a fornalką nie chciałbyś chyba jechać.

— Zajechałbym tam pewnie w nocy.

Po obiedzie rozpoczęły się tańce.

* * *

Nazajutrz Żurowski obudził się, gdy w domu jeszcze wszyscy spali. Zresztą w domu księcia nie wstawano tak rano.

— To wstyd, to hańba! Tak, innej nazwy na to znaleść nie można — powtarzał sobie Żurowski w myśli i ubrawszy się szybko, pobiegł do stajni.

— Zaprzęgaj, na miłość boską, zaprzęgaj co żywo.

Przez całą drogę przynaglał stangreta, żeby gnał szybciej. Im więcej zbliżali się do Leśnej, tem więcej się burzył.

Wejdzie do pokoju i w milczeniu podejdzie do łóżka, uklęknie przy niem i będzie długo, długo całował ręce starca. Pan Piotr powie, że nie potrzeba — on jednak wciąż będzie całował, całował.

Przyjechali.

W przedsionku powitała go Katarzyna.

— No i cóż, Katarzyno, cóż?

Katarzyna milczała.

Żurowski spojrzał na nią ze zgrozą.

— No i cóż? — zapytał szeptem prawie raz jeszcze.

— Umarł — odparła cicho.

— Umarł?

— Umarł. Wczoraj wieczorem umarł — rzekła Katarzyna z płaczem i usunęła się na bok, aby mu pozwolić przejść.

Przeszedł przez korytarz, przez gabinet i zatrzymał się na progu.

Na stole, pod długim szeregiem portretów familijnych leżał pan Piotr. Jego chuda, wynędzniała twarz, wyglądała surowo.

— Umarł, wczoraj wieczorem umarł — powtarzał Żurowski, wpatrując się z daleka w tę twarz. — A starzec kochał mnie, mamę kochał, tak kochał.. jestem o tem przekonany. Umarł, sam jeden umarł! Jak stary dzik... i nikt po nim płakać nie będzie.

I nagle, uchwyciwszy się rękami za głowę, Żurowski padł na kolana i zaczął głośno płakać, jak płaczą małe dzieci.

* * *

Pan Piotr umarł cicho, prawie bez cierpień, jak umierają tylko starcy. Prawie przez cały czas nie stracił przytomności i spokojnie spojrzał śmierci w oczy. Tylko przed samym końcem widocznie coś go zaczęło niepokoić i kilka razy z niecierpliwością dopytywał się, czy nie przyjechał chłopiec, jego chłopiec.

KONIEC



OBRAZKI Z ŻYCIA MYŚLIWEGO.

przez A. hr. Sumińskiego.

(Dokończenie).

9.

Dwa lisy.

Bierzemy miot drugi, dzień cudowny, mrozik trzyma, śniegu nie wiele, a okiści żadnej. Stoję na stanowisku bardzo apetycznem i czekam cierpliwie. Sąsiadów mam przyzwoitych, nie kichają i nie kaszlą, stoją cicho i strzelają dobrze. W tem odgłos sygnałówki daje znak, że miot rozpoczęty. Pędzono z dołu do góry. Staliśmy na drodze, przedemną zaś była drożyna, prowadząca ukośnie w miot, dalej był gąszcz świerkowy, który spuszczał się coraz to niżej, a był on podszewką lasową od drożyny. Stoję więc na cyplu dwóch dróg i nasłuchuję; gon był rozpoczęty, ale nagonka jeszcze daleko. W tem z gąszcza na ukośną drożynę wyskoczył lisiura, zastanawiając się nad dalszym zdaje się planem. Dalekie odgłosy nagonki niepokoiły go śmiertelnie. Czarne uszy jakby aksamitne położył w tył, spojrzał raz jeszcze złośliwie na bok, a ziejąc z lekka, krótkim galopkiem biegnie ukośną drożyną na sztych na mnie, trzymając się pod ścianą gąszczów. Dopuściwszy go

bliziutko, strzeliłem. Huk, potem dym zakrył całą tę tragedyę lub komedyę na krótką chwilę, aby odsłonić, jak mi się zdawało, tak haniebne pudło, jakiego się chyba już nie dopuszczę. Bo ot, co widzę. Mój lis pędzi ku sąsiadowi, jak strzała. Strzeliłem do niego z drugiej lufy i chybiłem go znów zupełnie. Mniemanie pudła pierwszego zbiło mnie z kontenansu i sprawiło pudło drugie, a raczej pierwsze prawdziwe. Ochłonąwszy, zawstydzony spojrzałem w miejsce pierwszej hańby i widzę, że leży lis martwy w tem samem miejscu, gdziem do niego strzelał, a ten, co uciekł, był drugim, który nawinął się niespostrzeżony przy pierwszym strzale i urządził tragikomedyę. A mógł to być straszny, lecz prześliczny dramat, którego nie tak prędko się doczekam

10.

Węgierskie polowanie na grubego zwierza.

Jeden z moich dawnych znajomych miał — jak utrzymywał — znakomite polowanie na grubego zwierza na Węgrzech. Ile razy mnie spotkał, nie mógł się nadziwić, że nie wybiorę się do niego. Opowiadał o niedźwiedziach, jeleniach, dzikach i wilkach niesłychane historye. Tak molestował mnie przez cztery lata, a nawet w listach, które odbierałem, wszystko kończyło się: przyjeżdżaj, a zaraz. Że i Węgier z tej strony nie znałem, a i skryta myśl, kto wie, może to choć w części prawda, a takie spotkanie warte podróży, więc zapakowawszy sztuciec, ruszyłem w podróż. Połączenia kolejowe haniebne, pociągi najnudniejsze pod słońcem, ale tam — niedźwiedź, jeleń, ba choćby nawet dzik lub wilk! na bok więc trudy i nuda, mina ciągle jeszcze gęsta i wio tylko dalej. Kraj to prześliczny, teren najtrudniejszy, jaki mi się dotąd spotkać zdarzyło, a zwierzyna — no zobaczymy. Lasy bukowe, bukowe i jeszcze raz bukowe, góry i góry, przestrzenie bez granic, najcudowniejsze to panoramy i aby je opisać, trzeba być poetą lub malarzem. Nawet stałby się nim tam można w tym cudownym kraju, żeby to nie były Węgry. Bo choć piosnka mówi:

Polak, Węgier dwaj bratanki
I do korda i do szklanki

ja zmieniłbym ten drugi wiersz: „Nie do korda, lecz do szklanki“. Nareszcie ruszyliśmy na łowy. Wszakże na grubego zwierza, to już nie śmieszne nasze polowańka. Że droga była daleka, chcąc ją skrócić, pojechaliśmy pojedynką na linijce, która — znajomy mój tak sądził — najlepsza do tych dróg, a wszędzie nią przejedzie. Średniej to wygody instrument, siedzieliśmy za sobą, a trzeci z tyłu chłopak, który na smyczy miał trzy gończe, bardzo ładne psy. Ujechawszy spory kawałek drogi, podjeżdzamy znów pod górę, w tem „trach“, oś pęka i linijka rozjeżdża się. O dalszej podróży w ten sposób niema i mowy. Po krótkiej naradzie odsyłamy chłopca z koniem do domu, który mówiąc nawiasem, puścił go na pierwszym spadku, tak że dobił nadwerężonego żywota biednej linijki, a za powrotem pana wziął od niego porządne cięgi. Wziąwszy psy, ruszyliśmy w górę. Tak wspinaliśmy się $1\frac{1}{2}$ godziny, a spuściwszy się na przeciwnej stronie, dobiliśmy do wsi, w której po wielu przeszkodach zarekwirowaliśmy konie, tłómacząc chłopu, że tylko do następnej wsi nas odwiezie. „Ja znaju“ odrzekł i ruszył. Jaka to była jazda po drodze, która nie była drogą, przez góry, wody, lasy i krzaki, jakie zdziwienie chłopa, gdy musiał Bóg wie jak daleko jeszcze jechać, pomijam. Zakończę tylko, że dojechaliśmy do celu żywi i zdrowi. Przyjechawszy, na wstępie doszły dwie wiadomości: pan wyjechał, ale może niedługo powróci, a druga, wilki zjadły wczoraj 12 baranów. Brawo! Około drugiej pan nadjechał i ruszyliśmy z dwiema sforami gończych do kniei i z jamnikiem. Nareszcie odetchnąłem. Nasłuchałem się historyjek o wilkach, o niedźwiedziu, niepokojącym całą okolicę, a wreszcie postawiony na stanowisku, usłyszałem: „do widzenia, a może i nie“.

Czyż te wszystkie okoliczności nie pobudzają imaginacyi, czyż nie powinienem się tam spodziewać Bóg wie czego. Stałem na stanowisku i w siódmem będąc niebie, rozpocząłem rozmyślać i marzyć, a trwało to bardzo długo. Wtem odezwał się pies, jeden, drugi, wszystkie, a choć to było jeszcze daleko i tylko echo przyniosło mi te głosy, serce zabiło jak młotem. Na myśli stanęły wspaniałe trofea towarzysza, jelenie rogi, niedźwiedzie skóry, wilcze i inne, słowem bujna imaginacya rozdrażniona do najwyższego, zaczęła działać. Psy bliżej, to znów dalej grają, jak z nut. Emocya ogromna. Wreszcie odkręciły w lewo odemnie, słyszałem je wyraźniej, a potem ciszej, coraz ciszej, jakby z pod ziemi i poszły światami. Schodzą się do mnie towarzysze, no i co, trzeba psy łapać. A co było? pytam. Nie wiem, ale przyjdzie leśny Janko, to powie, on zawsze wie. Janko nadszedł, lecz również nic nie wiedział. W godzinę potem psy połapano szczęśliwie i puszczono po raz drugi. Tą razą goniły ostro, zajadle i wprost na mnie. Wypada wystraszona koza. A że do niej nie strzeliłem, dostałem burę. Za to dwa psy złapałem i to przyśpieszyło miot trzeci, który już mniej emocyonująco dla mnie się przedstawiał. Zacząłem stygnąć.

Tak polowałem tydzień, a oprócz wspaniałych krajobrazów i częstych deszczów nie widziałem niczego. Któregoś dnia przychodzą chłopi, że dwa „kornazy“ są w lesie za domem. Ledwie psy zaczęły gon, słyszę szelest przed sobą, emocya szalona, choć już mniejsza jak dawniej, i — wypada na sztych na mnie zając!

Śladów jeleni i dzików bardzo tam wiele, ale polowanie i spotkanie nie łatwe. Dopiero spotkawszy się z dobrym myśliwym, niby Węgrem, w gruncie Niemcem trochę zmadiaryzowanym, dowiedziałem się od niego, że najgorzej się wybrałem, gdyż cała zwierzyna, której tu dużo, obecnie w Beskidach, prócz jarząbków, których tam dosyć. Trzeba przyjechać, gdy śnieg spadnie w Beskidach, a wtedy zwierzyna się spuszcza niżej i natłuc wtedy można masę.

Zapakowawszy manatki, wyjechałem, dowiedziawszy się, co prawda, z przykrością, że trofea mego znajomego są... kupione, a nie zdobyte.



Z literatury łowieckiej.

[Dokończenie].

Prześlicznie opisuje hr. Józef Potocki noce, spędzane w zeribie. Jeden taki obraz tej nocy, barwnie odmalowany przez autora, przytaczamy:

„Ledwo słońce zajdzie, miliardy much, brzęczących nad padłem, zginą gdzieś w zaroślach i cienie nocy ogarną przestwór nieba i ziemi — zjawiają się hyeny i zaczynają swe harce wkoło mięsa; oblatują je dokoła: to która dopadnie do ścierwa, porwie kawałek mięsa i w krzaki uniesie, to kość szarpnie i znowu powróci; coraz ich więcej się zbiera, ocierają się o ścianę zeriby, aż dreszczem przejmuje, a wstrętne ich głosy, do żałośnego jęku, to do szyderczego śmiechu ludzkiego podobne, rozlegają się złowrogo w ciszy nocnej i potęgują wrażenie mimowolnej grozy, której się oprzeć niepodobna.

„Panowanie hyen trupiarek trwa póty, póki groźniejszy współzawodnik się nie pokaże. Jest nim lampart. Odzywa się z daleka, słychać, jak ostrożnie przez krzaki się przesuwa, potem kilka grubych ryków urwanych — i jednym susem jest już na mięsie i pożerać je zaczyna. Hyeny tymczasem cofnęły się o kilka kroków, łakomie spoglądają zielonemi oczyma na smaczny kąsek, jednak przystąpić nie śmieją. Wtem lampart poczyna dawać znaki niepokoju, przestaje żreć, spogląda lękliwie w czarną głąb dżungli, to znów z jedzeniem spieszyć się zdaje, jakby chciał czemprędzej głód zaspokoić... Hen, z daleka dolatuje, jakby głębokie westchnienie, ryk niby żałosny, przeciągły — to lew, król pustyni się zbliża!

„Czasem załomocze coś ciężko w gałęziach i hucząc a sapiąc w gąszczu się przesunie — to nosorożec snuje się po dżungli, żeru szukając.

„I tak mijają godziny wśród nerwy natężającej emocyi, sen odlatuje od powiek, ucho stara się wsłuchać w nieznane głosy natury, oko usiłuje przebić czarną zasłonę tajemniczej dżungli. Ani się spostrzeżesz, jak gwiazdy blednąć zaczynają, świt różowy zwiastuje rodzący się dzień Boży — czas wychodzić z zeriby. Pozostaje tylko w sercu myśliwskiem wspomnienie cudnej nocy podzwrotnikowej, spędzonej w afrykańskiej głuszy“.

Na koniec przytoczymy jeszcze jeden opis najtragiczniejszej, zda się nam, chwili z całej wyprawy.

„14. lutego. Noc ubiegła i ranek dzisiejszy upamiętniły się głębokiem wrażeniem we wspomnieniach naszej wyprawy... Spaliśmy smacznie pod jednym namiotem, radzi użyć wygodnego noclegu po wielu nocach w zeribach spędzonych i zapomnieliśmy zupełnie o biednym osiołku, przywiązanym pod zagrodą obozu i skazanym na smutną rolę przynęty. Około 4ej rano zbudził mnie nagle szalony popłoch wśród taboru — wielbłądy rycząc, zerwały się do ucieczki i szarpały swe pęta, kucyki rżały i darły ziemię kopytami, ludzie pozrywali się i jak duchy przemykali między ogniskami, a nad wszystkiem górował straszny, przeciągły ryk króla pustyni, który tuż z pod samej zagrody dolatywał.

„Ledwo się ze snu ocknąłem, wpadł Alikhar, wołając. — Wstawaj panie; dwa lwy siedzą na ośle!

„Złapałem strzelbę, najbliżej pod ręką będącą, wcisnąłem w lufę pociemku odnalezione naboje i w lekkiem nader ubraniu, prowadzony za rękę przez Alikhara, po omacku, podsunąłem się do zagrody.

„Zeriby *en régle* nie było, tylko kilka gałęzi kolczastych, na krzyż położonych i okrytych ze strony wewnętrznej matą wielbłądzią. Po za tem o pół kroku leżał osieł w ostatnich podrygach, waląc kopytami w gałęzie, za któremi przysiadłem. Na nim siedziały dwa lwy, jeden przy karku, drugi u boku ofiary. Tak było jednak ciemno i gałęzie tak widok zasłaniały, że nic dojrzeć nie mogłem, słyszałem tylko przed sobą mruk zwierza, przechodzący co moment w krótki ryk urywany i szamotanie dogorywającego osła w pazurach swych zabójców. Zamoyski podsunął się razem ze mną i starał się wypatrzyć dla mnie moment dogodny do strzału, lecz obaj nie zdołaliśmy rozróżnić kształtów zwierza na tle czarno wyglądającej ziemi i ciemnej za nimi dżungli. Raz tylko zoczyłem łeb lwa, jak wprost ku nam spojrzał, trwało to jednak sekundę, łeb znikł i znowu nic odróżnić nie mogłem.

„Wróciliśmy do namiotów... Nie minął kwadrans, gdy przybiegł jeden z shikarich, około zagrody na straży zostawionych, z wiadomością, że lew znów przy ośle.

„Tym razem starannie nabiłem swój gruby kaliber i podsunąłem się do zagrody... Zaledwie kilka drobnych patyków oddzielało mnie od lwa Zoczyłem go tym razem natychmiast; czarna sylwetka zwierza, wyglądającego olbrzymio w cieniu nocy, rysowała się wyraźnie na jaśniejszem w tem miejscu tle horyzontu. Stał ku mnie na sztych o dwa kroki i patrzał wprost między gałązki, w które lufę skierowałem. Strzeliłem nieco za szybko; w chwili strzału miałem wrażenie, iż zdołowałem. Lew skręcił się na bok i galopem umknął. Po chwili słychać było, jak przystanął i w miejscu począł wzdychać i jęczeć.

„Lew zabity!“ — krzyknął chórem obóz cały i Somalisi, z Alikharem na czele, poczęli mnie swym zwyczajem klepać po ramieniu i za rękę ściskać, winszując trofeum, zdobytego w tak niezwykłych warunkach.

„O spaniu tej nocy naturalnie już mowy nie było; z niecierpliwością wyczekiwałem brzasku. Ledwo się rozwidniło, wybiegliśmy z zeriby, by zobaczyć, co się stało ze lwem. Niestety, nie było go w tem miejscu, gdzie według głosu legnąć był powinien. Przy tropie widać było ślad farby, wskazujący, że kula nie chybiła celu, co znów dodawało otuchy, że zdobycz nie ujdzie.

„Farba miejscami była obfitą; gdzie niegdzie postrzałek zalegał; po chwili widocznem się stało, że zwierz ranny nizko w łopatkę, lub nogę, bo łapę jedną wlókł po ziemi. Trop drugiej sztuki, zapewne lwicy, bo mniejszej, biegł równolegle ze śladem postrzałka. Po kilkuset krokach doszliśmy do miejsca, skąd lew widocznie dopiero co pomknął przed nami, bo farba była świeżutka jeszcze i wilgotna, w ziemię nie wsiąkła; ślad drugiej sztuki odbiegł i znikł w gąszczu.

„Wysunąłem się naprzód i stanąłem pierwszy z Osmanem, szukającym tropu, i oczy sobie ręką zakrywając, począłem obserwować jednego z konnych Somalisów, który przed nami na równinie harcował. Będąc pewnym, że lew, którego jeden z ludzi jakoby widział przed chwilą pomy-

kającego, znajdował się daleko przed nami, lewą ręką trzymałem za lufę mały ekspres Hollanda na ramieniu. Za mną tuż obok stał Alikhar, dalej Zamoyski i reszta ludzi. Wtem, z pod krzaku, o pięć kroków przedemną z piekielnym rykiem wypadł lew, jak piorun i uderzył wprost na mnie. Rzuciłem się w bok; zerwałem strzelbę... Lew był prawie już na mnie, gdy dzielny Alikhar w tejże chwili, sam jak lew odważny, z wyprężoną dzidą, tarczą się zasłaniając, z krzykiem rzucił się naprzeciw szarżującej bestyi. Lew skręcił się ode mnie i jednym susem skoczył na Alikhara.

„Wszczął się pojedynek, najstraszniejszy, jaki wystawić sobie można, między dzielnym człowiekiem, a śmiałem zwierzęciem. Alikhar, tarczą się od łba i kłów zasłaniając, dzidą się bronił i wpakował jej ostrze w poprzek paszczy zwierza. Zdołałem uchwycić moment do strzału, gdy lew siedział na Alikharze, i strzeliłem z boku, nieco z tyłu; nie mogłem mierzyć w łeb ani w komorę, bo do człowieka było za blizko i aż mnie dreszcz przechodzi na myśl, jak moja kula niedaleko od ciała człowieka przelecieć musiała.

„Po moim strzale lew odskoczył od Alikhara i zwrócił się na Zamoyskiego; przywitany w pierś kulą z 10-go kalibru, zachwiał się, odskoczył jeszcze parę kroków, uderzył łbem o kopiec termitów i zwinięty w kłębek, legł martwy o 10 kroków przed naszemi nogami.

„To, co długo opisałem, trwało kilka sekund. Ryk lwa, krzyk ludzi, chrzęst zębów zwierza na ostrzu dzidy w strasznym pojedynku z mężnym Somalisem, wreszcie świst kul z karabinów naszej eskorty, które więcej naszemu życiu, niż lwu zagrażały — wszystko razem złożyło się na obraz tak strasznie dramatyczny, tak przejmujący do szpiku kości najzimniejszego człowieka, że jego grozy nie pojmie ten, kto sam w podobnem nie był położeniu; należy ją odczuć, by zrozumieć. Lecz po sekundzie grozy jakaż radość ogarnia serce myśliwskie na widok królewskiego zwierza, rozciągniętego przed stopami myśliwych! Najdziwniejszym z całego zdarzenia, iście nie do uwierzenia, jest fakt, że Alikhar w spotkaniu ze lwem, który siedział na nim formalnie parę sekund, ani rany, ani draśnięcia nawet nie otrzymał. Na jego szczęście, lew miał jedną łapę zdruzgotaną mym nocnym strzałem i tem samem ubezwładnioną; drugą wpił w płócienne odzienie, którem się Somalisi w pół ciała owijają i poszarpał mu je w drobne szmatki, lecz ciała nie naruszył; od kłów i paszczy zasłonić się zdołał tarczą ze skóry nosorożcowej i obronił dzidą, którą lew pogryzł i pogiął w swej szczęce potężnej. Darował mi Alikhar tę dzidę i zachowam ją sobie na wieczną pamiątkę odwagi Somalisa i szczęśliwego dla mnie ratunku z krytycznej sytuacyi.

— „Mój dzień jeszcze nie nadszedł — rzekł z uśmiechem Alikhar, ślepo w fatum wierzący, gdy rozmawialiśmy z nim o całem zdarzeniu“.

Przytoczyliśmy z umysłu ten długi ustęp, aby dać dowód, jak silne wrażenie autor umie wywołać swojem prostem opowiadaniem. Dla zaspokojenia myśliwych dodać należy, że lew miał trzy kule: pierwszą nocną hr. Potockiego w nodze zupełnie strzaskanej, drugą hr. Potockiego wówczas strzelaną, gdy był na Alikharze i trzecią hr. Zamoyskiego, która go ostatecznie powaliła, w piersi.

Niestety nie możemy podać więcej szczegółów z tej nader ciekawej książki hr. Potockiego, ale te, które przytoczyliśmy, dają należyte wyobrażenie o niezwykłych zaletach pisarza i jego dziele.

Po trzech miesiącach pobytu na dzikiej ziemi Somalisów, przez pustynię Tojo wrócił nasz myśliwy do Berbery z obfitym łupem łowieckim, który stanowiło: 7 lwów, 3 słonie, 8 nosorożców, 5 lampartów, około 200 antylop i drobniejszej zwierzyny. Pomiędzy lwami jeden ubity przez hr. Zamoyskiego był pięknym okazem lwa czarno grzywego, mierzącego przeszło 10 stóp długości.

„Adio, Somaliland! — woła autor, kończąc swą książkę — tam raj dla myśliwego, tam ziemia pełna uroku i czaru dla miłośnika przyrody i stref niezbadanych“.

Kończąc sprawozdanie z tej książki, nie możemy pominąć milczeniem strony ilustracyjnej. Dokonał jej znany artysta, Piotr Stachiewicz, a nazwisko artysty daje rękojmię, że ilustracye są znakomite. Doprawdy, wierzyć się nie chce, że ten artysta nieporównany w tworzeniu idealnych postaci, posiada w pendzlu i ołówku swoim tyle kunsztu, aby z najbardziej realnem poczuciem prawdy oddać przyrodę egzotyczną, życie zwierząt, a wreszcie sceny pełne grozy i siły.

Drukarni W. L. Anczyca w Krakowie należy się uznanie za prześliczne wydanie książki.



Z południa na północ.

Wzdłuż Nilu siedzą gęste stada ptaków i wygrzewają się w palącem słońcu. Czyszczą i porządkują swe pióra, uderzają kiedy niekiedy skrzydłami, chwytają leniwie dziobami to jakiegoś robaczka, to chrząszcza, od których się roi w bagnie.

Pożywienia aż za wiele; jest za gorąco i za cicho; ptaki tęsknią do zimnego deszczu, ostrego powietrza i świeżych, ożywczych burz.

Niezliczone stada dzikich gęsi pływają po wolnych miejscach wśród trzciny na rozległych bagnach. Czaple i bociany ukazują się tu i ówdzie; skurczone stoją na jednej nodze ze zwieszonym dziobem. Nudzą się piekielnie.

Rozmaitego rodzaju słonki, kurki, nurki, czajki, głuszce, dzikie gęsi, kaczki, przepiórki, jaskółki — aż do „głupich“ szpaków włącznie — wszystko to się nudzi, że aż chce wyskoczyć z upierzenia.

Ibis irytował się na tę obcą, szaro upierzoną hołotę i jest nawet na tyle łaskawym, że skarży się czerwonym flamingom, aczkolwiek zwykle nimi pogardza z całego swego ptasiego serca.

Krokodyl łypie swemi oślizgłemi, jasno zielonemi oczyma i chwyta od czasu do czasu jakąś tłustą gęś, poczem powstaje taki wrzask i krzyk, że rozlega się po

całym obszarze płaszczyzny wodnej, aż w końcu zamiera gdzieś w oddali.

I cisza pustyni kładzie się znowu na płonący krajobraz i leniwe stada ptaków, które siedzą i czekają, same nie wiedząc dobrze, na co.

I oto mały szary ptaszek frunął prostopadle niemal w powietrze, stanął na chwilę w górze nieruchomy i niesłychanie, prędko zaczął trzepotać skrzydełkami, świegocąc coś bardzo czule; następnie powrócił na dół i schował się w trawie.

Całe ptasie towarzystwo podniosło głowy i szyje w górę i zaczęło nadsłuchiwać. I oto nagle powstało gdakanie, klekotanie, świegot — jakiś niepokój, owładnął ptasim światkiem w najmniejszym jego zakątku. Młode, niezdarne czajki zrywały się, zataczały koła w powietrzu, aby pokazać, jak dobrze już umieją fruwać.

Żórawie jednak, które rzecz pojmowały rozsądnie, zebrały się na walne zgromadzenie, aby się naradzić nad propozycyą podróży skowronka. Wszystkie ptaki bowiem poznały skowronka natychmiast po głosie, aczkolwiek nie wydał z siebie więcej, jak dwa, trzy tony; śpiew nie usadowił mu się jeszcze dobrze w gardziołku. Podczas narady żórawi usłyszano jednak potężne uderzenie i powietrze ściemniło się zupełnie.

Były to dzikie gęsi, które pierwsze podniosły kotwicę. Dzieliły się na wielkie oddziały, krążyły w powietrzu, szykowały się następnie w długie szeregi i znikały na północy, a gdakanie ich gubiło się w oddali.

Szpaki podnosiły się w czarnych masach i udawały się w drogę, za ich przykładem poszły czajki.

Bociany parami wzbijały się w powietrze wysoko, tak, że ich prawie widać nie było, i obierały drogę na północ.

Walne zgromadzenie żórawi rozbiło się w zupełności wśród ogólnego zamięszania i niepokoju; wszyscy chcieli uciekać — nie było się więc nad czem namyślać. Co chwila przelatywały nowe stada ptaków nad północną Afryką, a wszystkie witały dzióbami uśmiechnięte, niebieskie morze Śródziemne.

Słowiki rodzaju męskiego czekały nocy, aby się puścić w drogę w małych gromadkach; chciały odnaleść znane miejsca w krzewach różanych Prowancyi lub w lasach bukowych Zelandyi już takiemi, aby mogły się w nich nauczyć swych najpiękniejszych piosnek dokładnie gdy samiczki za nimi przyciągną.

Skowronki norweskie czekały najdłużej; gdy jednak pociągnęły duńskie poszły za nimi z dawnej przyjaźni. Gorączka podróżowania ogarniała wszystkich do tego stopnia, że nawet kukułki i jaskółki pociągnąć musiały; w każdym razie chciały się przedostać za morze Śródziemne, a potem można przecież jeszcze rzecz rozważyć.

Ibis odzyskał znowu spokój umysłu i kroczył majestatycznie jak dygnitarz nad brzegiem; czerwone flamingi ustępowały z szacunkiem przed jego egipską świętością na bok, schylając nabożnie głupie głowy, z załamanymi dzióbami ku ziemi.

Wzdłuż Nilu stawało się coraz ciszej i cieplej. Krokodyle musiały się teraz zadawalniać mięsem murzynów lub od czasu do czasu kościami jakiego chudego podróżującego Anglika.

Ale dzień i noc szybowały ptaki przelotne ku północy. I zawsze, gdy przeciągały ponad znanemi miejscami, każdy gatunek siadał w swem gnieździe rodzinnem; za tymi, które musiały pędzić dalej, wołały: „do widzenia!“ i szerzyły życie i wesołość w starej, zamarzłej Europie, w lasach i polach, do koła mieszkań ludzkich i daleko w łozinach i na jeziorach.

We Włoszech były już wszędzie małe, czerwone pączki różane; jabłonie w południowej Francyi okryte były białoczerwonem kwieciem, a na bulwarach w Paryżu zaczęły już pękać liście kasztanów. Poczciwi mieszkańcy Drezna stali na tarasie brühlowskim i wygrzewali się na słońcu, uważając na krę, która pędziła w dół rzeki i waliła w potężne filary mostu.

Dalej na północ było jeszcze zimno. Tu i ówdzie pola usłane śniegiem, niekiedy ostry podmuch wiatru z morza Baltyckiego.

Skowronków było coraz mniej w pochodzie; całe ich mnóstwo musiało osiąść pod Lipskiem, a gdy reszta ich przelatywała nad Szlezwikiem, pytały się duńskie skowronki północnych, czyby nie miały ochoty zaczekać na pogodę.

W Jütlandyi śnieg leżał wzdłuż rowów i płotów, a wiatr północno-zachodni szumiał w koronach starych duńskich buków, z jeszcze nierozwiniętymi liśćmi. Ptaki kryły się za kamieniami i zielskiem; niektóre odważyły się podejść do chat wieśniaczych, gdzie roiły się wróble, jakby to wszystko do nich należało.

Wszystkie ptaki godziły się na to, że wybrały się zawcześnie w drogę, i gdyby tylko mogły były pochwycić tego, który je wywabił z Egiptu, z pewnościąby go rozszarpały. Nareszcie zadął i wiatr południowy; ptaki północy podziękowały za chwilową gościnę i pofrunęły przez morze.

Na północy wyglądało z początku smutnie. Śnieg leżał w dolinach i w gęstych lasach. Wiatr południowy przyniósł jednak z sobą deszcz i za jednym zamachem — nie pokojowo i powoli, lecz z hukiem, trzaskiem, powodziami tak że kraj wyglądał, jak olbrzym, który się myje, przyczem zimna jak lód woda spływa po jego muskularnych członkach.

I lekkie, jasnozielone mgły kładły się na młodych brzózkach na wzgórzach, nad dolinami, a w górach wysoko spoczywał jeszcze śnieg.

A słońce świeciło, tak ciepłe, tak wesołe a wiatr przynosił coraz więcej ciepła z południa. Wreszcie przybyła kukułka jako mistrz ceremonii, aby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Fruwała tu i tam siadła, na brzózce i zakukała. Wiosna przyszła !!...

I rozpoczęła wiosna swój tryumfalny pochód ze śpiewem i z muzyką, z intryżkami miłosnemi, począwszy od małych chrząszczyków, które nadskakiwały sobie wzajemnie w trawie, aż do niedźwiedzi, które po lasach się tłukły, aż krew ciekła.

Z pewnością wielki pożerał małego jak zawsze, tego nie można zaprzeczyć; ale było to niemal przypadkowe. Nikt nie wymagał wiele pożywienia; jeżeli ktoś jest zakochany, ma o czemś innem do myślenia. Walka o byt wygląda później w lecie i w jesieni zupełnie inaczej, gdy trzeba znosić pożywienie dla pani i dla kupy głodnych dzieci.

Wiosna kładła jakiś błysk rycerskości na żarłoczność brutalną, a samczyki starały się rozwijać całą swą uprzejmość, podczas gdy samiczki korzystały z krótkich tryumfów.

W lesie i polu płynęły tony tęsknoty, beznadziejnej skargi i tryumfującego szczęścia; i wiele małych serc pękało w rozpaczy cichej i wiele, wiele niestosownych rze-

czy działo się pod gęstem liściem i w samotnych górach i rozegrała się niejedna mała walka na życie i śmierć, podczas gdy piękność obojętnie się na to patrzyła.

Dwie zięby tłukły się w powietrzu tak długo, aż spadły do stawu i wypłynęły, zmoczone i przerażone. A tymczasem ta, o którą walczyły, uciekła z trzecim, który się tam znalazł przypadkowo. Staw był cichy i gładki, tak, że dwaj współzalotnicy mogli się w nim przeglądać, by doprowadzić toaletę do porządku.

Słowem — wszędzie wrzało życie i miłość, promienie słoneczne padały tajemniczo na to dziwaczne życie, zda się zawsze to samo, a jednak zawsze odmienne i nowe.

Niedźwiedź swatem.

Na początku bieżącego stulecia nad Niemnem, na skraju obszernej puszczy, nieopodal od siebie stały dwa modrzewiowe dworki szlacheckie, ocienione lipami i obramowane schludnemi zabudowaniami gospodarskiemi. Dzieliła je najwyżej wiorstowa odległość po drodze wysadzonej topolami, biegnącej wężykiem wzdłuż Niemna, niby wstęga wiatrem falowana.

Mieszkańcem jednego z tych dworków był p. Wojciech Dowrat, szlachcic starej daty, były żołnierz napoleoński a dziś gospodarz zawołany. Po smierci żony, zmarłej przed kilku laty, gospodarstwo prowadziła mu córka, jedyna dziedziczka niewielkiej, lecz dobrze zagospodarowanej wioski, dziewczę ośmnastoletnie szczupłej i wiotkiej postawy, o twarzyczce rumianej, okolonej jasnoblond loczkami, kręcącymi się figlarnie, a w blaskach słońca wpadającymi w płowy odcień, doskonale odbijający od usteczek koralowych i ocząt niebieskich.

Ojciec zwał ją dzierlatką, znajomi i sąsiedzi panną Jadwigą, a przyjaciółki i starsze panie po prostu Jadzią.

Sąsiadką Dowratów z przeciwległego dworka była wdowa, również po oficerze wojsk napoleońskich, pani Jasionowska, matka dwóch dorodnych synów. Starszy z nich Jan gospodarował na ojcowskim zagonie, młodszy Władysław po ukończeniu szkół poszedł w świat i przez lat parę nie pokazywał się nad Niemnem, zrzadka tylko donosząc o sobie, przebywał przez czas pewien w Monachium, później osiedlił się w Rzymie, studyując sztukę malarską, do której od dzieciństwa wielki okazywał pociąg. Gazety dużo pisały o jego talencie, świetną rokowały mu przyszłość, na razie atoli sztuka nie dawała chleba i brat z matką musieli sobie od ust odejmować, aby przyszłemu artyście dostarczyć środków na utrzymanie.

Zawierucha wojenna poderwała ich byt, wyczerpały się zasoby i Władysław, pomimo usilnych starań brata i matki, musiał przerwać studya.

Powróciwszy do domu, z początku nudził się bardzo, później atoli zaczął krążyć po okolicy i znalazłszy na rodzinnej ziemi równie piękne jak i pod włoskiem niebem widoki, gorliwie zajął się przenoszeniem na płótno uroczych pejzaży nadniemeńskich, które w przyszłości sławę zapewnić mu miały.

Jadzia zainteresowała się młodym malarzem, rozmawiała z nim często i wiele, o krajach w których przebywał, o wiecznem mieście, pełnem wzniosłych pamiątek i o wielu innych nie mniej ciekawych rzeczach.

Nić sympatyi zaciskała się między młodymi coraz bardziej, aż wreszcie zamieniła się w miłość głęboką.

Posmutnieli oboje, walcząc z uczuciem, które ich coraz bardziej ogarniało, nakoniec w jeden piękny wieczór jesienny, rozmarzeni, wyznali sobie nawzajem tajemnicę, przepełniającą ich serca. Nazajutrz Władysław prosił o rękę Jadzi.

Od samego rana wybierał się z wizytą do dworku Dowrata i szło mu jakoś niesporo; nie miał odwagi stanąć oko w oko ze starym wiarusem, który zbyt wyraźnie okazywał mu niechęć, lekceważył jego sztukę i nieraz z pogardą się o niej odzywał.

— To wstyd doprawdy — mawiał pan Wojciech — aby dziecko obywatelskie, syn żołnierza, był sobie po prostu bazgraczem i drogi czas tracił napróżno, gdy kraj potrzebuje tylu dzielnych ludzi. Ja, gdybym miał syna, nigdybym na nic podobnego nie pozwolił.

Ideałem dla starego szlachcica był lemiesz i szabla, na innem polu służby krajowej nie pojmował chyba przed kratkami sądowemi i w konfesyonale.

Z oburzeniem tedy przyjął oświadczenie Władysława i prośbę jego o rękę córki stanowczo odrzucił.

— Gdyby to był brat twój Janek, walny chłop, setny szlachcic i dobry obywatel, dumny byłbym mosterdzieju z jego afektów i bez wahania powierzyłbym mu los mojej dzierlatki. Ale taki wietrznik jak ty, panie Władysławie, nie daje mi żadnej rękojmi. Dwie niewiasty razem, to za śmieszna para, a tyś niewiasta, jeśli możesz spokojnie siedzieć i bawić się malunkiem dziewuch wiejskich lub okopconych chałup chłopskich, w chwili, gdy rówieśnicy twoi leją krew pod sztandarami bohatera wieku. Gdyby nie ty, Jan dawnoby już walczył w szeregach bratnich, ale komuś przecie przy zagonie ojców zostać potrzeba.

Jeśli nie pachnie ci lemiesz, przypasz szablę i jako przystało na potomka rycerzy, uczciwie dobijaj się sławy i estymy u ludzi, a wówczas zobaczymy.

Za nic nie wydam mojej dzierlatki za bazgracza, co jeno jako mularz pedzlem machać umie, a szabli i lemiesza się boi.

* * *

W samym kącie ogrodu na ławeczce, pod cieniem stuletnich dębów, oczekiwała Jadzia na rezultat rozmowy Władysława z ojcem.

Płową główkę oparła na białej dłoni, niebieskie oko skierowała gdzieś w dal nieskończoną, z bijącem serduszkiem, nasłuchując, ażalić nie zbliża się ukochany... lub ojciec, tubalnym, wesołym głosem nie woła od ganku:

— Pójdźno tu, dzierlatko, kochanie ty moje, śpiesz się serdeńko !

Po żwirze ogrodowym rozległy się kroki.

To Władysław nadchodził, ale jakiś zgnębiony, z głową smutnie pochyloną na piersi, blady i widocznie wzruszony.

Utkwiła weń jasne swoje spojrzenie, pełne niewysło-

wionej trwogi. Nie łudziła się bynajmniej, w twarzy ukochanego przeczytała wyrok ojcowski.

— Więc odmówił — wyszeptała.

— Stanowczo. Nawet słuchać mnie nie chciał.

— I dlaczego?

— Albož ja wiem. Nie podoba mu się zamiłowanie moje do sztuki. Gani moją bezczynność, gdy inni walczą; jak gdyby po za żołnierzem i rolnikiem, nie było już ludzi.

— I cóż my teraz poczniemy biedni?

— Albož ja wiem. Pójdę za kordon, zaciągnę się w szeregi wojsk księstwa, podobno zanosi się na wojnę; w pierwszej lepszej potyczce śmierci szukać będę i niech się to raz skończy.

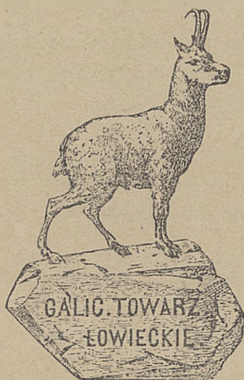
— A ze mną co się stanie?

— Zapomnisz i pójdziesz za innego.

— Nie mów tak panie Władysławie, ja nie z tych, które uczucia swe zmieniają — jak rękawiczki. Ty, albo żaden!

(Dok. nast.).

Sprawy Towarzystwa.



Zapłacili za rok 1898 w m. czerwcu 1898.

Doms Robert	7·50	Skarzyński Stanisław	7·60
Dzieduszycki Karol Hr.	5·—	Skibniewski Aleksander	5·75
Fedorowicz Adam Dr.	7·—	Skolimowski Józef	5·75
Gołębski Kazimierz	7·50	Skrzyszowski Maryan	5·75
Jędrzejowicz Tomisław	7·50	Sokołowski Antoni	5·75
Kasyno w Sanoku	1·25	Stadnicki Jan Hr.	5·10
Kasyno w Tarnowie	2·50	Starkiewicz Leon	5·75
Kleski Jan	7·50	Starzeński Henryk Hr.	5·80
Köller Hieronim Dr.	5·70	Starzeński Albert Hr.	5·75
Ludwig Mikołaj	5·—	Struszkiewicz Michał	5·75
Mikołajewicz Kornel	5·80	Tarnowski Jan Hr.	5·10
Milieski Alfred	5·—	Tarnowski Juliusz Hr.	5·75
Moysa Rosochacki Stefan	5·10	Tarnowski Stanisław Hr.	5·05
Mysłowski Alfred	7·50	Tokarzewski Jan	5·75
Nahlik Edward	5·—	Topolnicki Bronisław	5·75
Nehrlich R.	5·10	Torosiewicz Mikołaj	5·75
Pacuła Bolesław	5·—	Towarzystwo myśliwskie w Bohorodczanach	2·50
Pieńczykowski Stanisław	7·—		
Pinterhoffer Stanisław	5·—	Towarzystwo łowieckie w Śniatynie	5·—
Raciborski Władysław	5·—		
Sanguszko Eustachy Ks.	5·10	Weissenwolff Jadwiga Hr.	5·—
Sawicki Henryk	5·75	Weissenwolff Konrad Hr.	5·—
Sedlarz Rudolf	5·10	Więckowski Stanisław	5·50
Siemiradzki Józef Pr Dr.	7·50	Żelechowski Wincenty	5·75

Zapłacili za rok 1898 w m. lipcu 1898.

Baworowski Jerzy Hr.	5·10	Findling Jakób	5·10
Błażowski Julian Br.	5·75	Garapich Antoni	5·20
Charlewski Wiktor	3·20	Kasyno w Tłumaczu	2·50
Cieński Józef	7·50	Komornicki Bolesław	7·50
Dobek Józef	5·80	Konopka Jan Br.	5·10
Korasiewicz Leon	2·50	Pawlik Stefan Dr.	5·50
Krobicki Leon	7·50	Raschka Karol	2·—
Linderski Konstanty	7·50	Robaczewski Jędrzej	2·50
Łoś Maryan Hr.	5·10	Sapieha Jan Ks.	5·75
Maulz Józef	2·50	Słapa Władysław	5·75
Mazaraki Jan	5·80	Starzeński Leonard Hr.	5·—
Merkel Karol	2·50	Stoczkiewicz Zdzisław	5·10
Miliński Fr.	6·—	Unger Ludwik	5·—
Orski Jan Dr.	7·50	Zacharyasiewicz Antoni	5·75
Pauli Edward	7·50		

KRONIKA.



Rogi rogacza zabitego przez ks. Trautmannsdorfa w Grobli, w puszczy niepołomickiej.

Nasza ilustracya. Dzięki wielkiej uprzejmości ks. Karola Trautmannsdorfa, otrzymaliśmy za pośrednictwem hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa kliszę, przedstawiającą parostki rogacza zabitego przez księcia, na podjeździe wieczornym, dnia 14. czerwca br. Rogi te są rzeczywiście bardzo ciekawe i sądzimy, że robimy prawdziwą przyjemność czytelnikom *Łowca*, zamieszczając tę rycinę. Ks. Trautmannsdorfowi za jego uprzejmość składamy serdeczne podziękowanie.

W przyszłym numerze zamieścimy rycinę oryginalnych rogów, zrobioną według szkicu rysunkowego, nadesłanego nam przez hr. Franciszka Łubieńskiego.

Treść: Po zjeździe. — Żóraw. — Chów bażantów i kuropatw. — Stary dzik. — Obrazki z życia myśliwego. — Z literatury łowieckiej. — Z południa na północ. — Niedźwiedź swatem. — Kronika. — Ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ Dra Feliksa Woynarowskiego we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.